

Agata Suchocka

## KONIEC ŚWIATA

Mam na imię Betty i mieszkam na Końcu Świata.

Prawidłowo powinno się powiedzieć "w Końcu Świata", ale oczywiście nikt z miejscowych tak nie mówi. Poznajemy po tym turystów, choć w zasadzie i tak rozpoznajemy ich, zanim się odezwą. Nie sposób przecież nie znać wszystkich mieszkańców wiochy, w której jest niespełna osiemdziesiąt domów.

Męcę się w tym "środku nicości" już czternaście lat. Czternaście długich lat, które wydają mi się wiecznością. Każdy dzień wygląda tutaj tak samo, nic się nie zmienia, ciągle widuję te same twarze, robię zakupy w tym samym sklepie i widzę przez okno tę samą linię horyzontu. Jedyne morze codziennie wygląda inaczej i chyba tylko to, że mogę na nie patrzeć z okna mojego pokoju sprawia, że nie wariuję. Siadając w wykuszu okna na kolorowych poduszkach i otwierając książkę, czuję, że na chwilę mogę stąd uciec.

Koniec Świata odżywa każdego lata, zmieniając się w kurort, szczyjący się jedną z najpiękniejszych plaż w kraju, okalającą całą linię brzegową niewielkiego półwyspu, na krańcu którego leży. No dobrze, latem jest tutaj przepięknie, ale to nie wystarcza do życia, gdy wokół są sami wścibscy i płytki ludzie. Tutaj nikt nie może mieć żadnych tajemnic, nikt nie może być anonimowy, wszystko jest na wierzchu i chyba głównie to doprowadza mnie do szału.

Ostatni rok był chyba jeszcze gorszy niż wszystkie poprzednie!

Znalazłam się w jednej klasie z córką lokalnego bonza, właściciela jedyne w promieniu stu kilometrów czterogwiazdkowego hotelu nazwanego pretensjonalnie "Helladą" na cześć żony prominenta, rodowitej Greczynki. Przybytek otynkowany na biało, o błękitnych okiennicach, luksusowym SPA i kuchni serwującej śródziemnomorskie specjały przez cały rok jest oblegany przez japiszonów z miasta, odbywających tu jakieś szkolenia czy konferencje. Co jakiś czas zjawia się tłum identycznych ludzików w identycznych garniturach, po czym po burzliwym imprezowaniu przez cały weekend znika bezpowrotnie, zastępowany po jakimś czasie kolejną grupą. Dla świeżo upieczonej gimnazjalistki nie przedstawiają one żadnej atrakcji.

Mówimy na córkę hotelarza Zocha, gdy nie słyszy, bo gdy tylko podsłucha, zaraz poprawia nas tekstami w stylu "Sofija, buraku! Ile razy mam powtarzać?" Wydaje jej się, że skoro jej ojciec ma kupę kasy, jest lepsza od pozostałych. Większość dzieciaków, bojąc się

nie wiadomo czego, uważa, że tak fatycznie jest i zabiega o jej względy sposobami, które przyprawiają mnie o mdłości. Mnie nie imponują pieniądze Zochy, nie imponują mi jej kruczoczarne loki, nie imponuje mi nawet jej biały koń, na którym w sezonie odbywa codzienne przejażdżki brzegiem morza, odziana w złote bikini i powiewające w podmuchach bryzy kwieciste pareo. Owszem, wygląda może przy tym jak milion dolarów, ale ja zbyt dobrze wiem, że pod tą piękną skorupką nic się nie kryje. Zocha jest pusta jak wydmuszka. Chyba tylko ja i Żanka nie staramy się jej podlizać.

Żanka, moja jedyna i najlepsza kumpela, ma chyba jeszcze bardziej przechlapane, niż ja. Ja przecież za rok czy dwa, jeśli będą miała dobre oceny, dostanę w końcu pozwolenie na przefarbowanie moich rudych włosów, ale rodzice Żanki nigdy nie zarobią grubych tysięcy na operację oczu, która pozwoliłaby jej zdjąć okulary przypominające denka od butelek. Czy tylko ja widzę, jak ładne są jej oczy, gdy przebiera się na WF i zdejmuje na chwilę okulary? Niestety, nic wtedy nie widzi i pozostali mogą zobaczyć tylko jej zmniejszone przez grube szkła "krecie oczka" jak sama je nazywa. Ale ja wiem, że za nimi skrywa się piękna i przepastna dusza, jakże niezwykła u kogoś w naszym wieku. Całą sytuację pogarsza jeszcze fakt, że tata Żanki hoduje rasowe kury. Żeby to chociaż były gołębie, ale nie! To jakieś dziwaczne, pokraczne nieloty, które chyba tylko oni potrafią kochać. Niestety, nagrody na zawodach drobiu nie wystarczą na zabieg korekty wzroku.

Cały rok snułyśmy się z Żanką pod ścianami korytarza, stanowiąc nieustanny cel ataków. Szybko przyzwyczaiałam się do przyzwiska "Marchewa", z moja psiapsiółka do głupich docinków: "Hej, Krecik, wykluło się coś ciekawego?" Po prostu ignorowałyśmy to wszystko, odliczając dni do końca roku szkolnego.

I w końcu stało się!

Ostatni dzwonek!

Jeszcze tylko upokorzenie na apelu podczas odbioru świadectw i zacznie się sezon, przyjadą obcy ludzie, nieznani nam ludzie, może w końcu ktoś ciekawy, a nie tylko nowobogacy, nie mający gdzie wydawać swoich pieniędzy. Czułam, że w tym roku coś musi się wydarzyć, coś musi się zmienić!

– I w końcu nagroda za najlepszy wynik w czytelnictwie dla Elżbiety Kunickiej!

Głos dyrektorki wyrwał mnie z zamyślenia, podążyłam na środek sali gimnastycznej z opuszczoną głową wśród buczenia i docinków. Te głąby uważały, że czytanie to obciach i nie brały do rąk niczego za wyjątkiem streszczeń lektur. Nie zamierzałam ich uświadamiać, co tracą, niech sobie pstrykają na swoich komórkach i smyrają tablety, co mi tam! Dla mnie nie

liczyła się ilość znajomych na fejsie, jeśli mogłam przenieść się do innego świata, otwierając książkę. Byle dalej od tej bandy szpanerów.

Największym szpanerem w szkole był Wiktor z drugiej klasy. Zawsze nosił markowe buty, paski na jego dresie musiały być widoczne, podobnie jak skomplikowane wzorki wycięte na skroniach przez matkę, właścicielkę jedyne w miasteczku zakładu fryzjerskiego. Wiktor był najlepszym w szkole sportowcem, biegał najszybciej, potrafił okiwać każdego w nogę i snobistycznie grywał w tenisa na kortach "Hellady". Miał zawsze usztywnioną żelem blond grzywę i ogromne, niebieskie oczy. Dobra, przyznam się ze wstydem, że mnie także się podobał, ale po prostu był typem, który nie mógł się nie podobać! Pewnie dlatego, że jako jedyny – nie licząc nieudaczników i kujonów – nie docinał nam na przerwach i od czasu do czasu rzucał mi zdawkowe "Siemka, Betty!" Przez całą szóstą klasę siedział ze mną na polskim i gdyby nie to, że dawałam mu ściągać, miałby kłopot z wydostaniem się z podstawówki. Choć udawał, że tego nie pamięta, najwidoczniej jednak pamiętał.

Wskoczyłam jeszcze na moment do biblioteki, aby odebrać książki przygotowane specjalnie dla mnie przez panią Marylkę. Przez te kilka miesięcy bardzo się zżyłyśmy i bibliotekarka co rusz podrzucała mi "spod lady" jakieś smakowite literackie kąski: Vonneguta, Poe'go, Stokera, Rosendorfera, Goethe'go – przeczytałam dzieła, o istnieniu których większość moich rówieśników nie miała nawet pojęcia. Utrzymywałyśmy nasz układ w tajemnicy, gdyż spora część książek, które pani Marylka podrzucała ukradkiem do mego plecaka, była przeznaczona raczej dla starszych czytelników, ale ona zdawała się wiedzieć, że mój umysł był w stanie je przetrwać. "Masz starą duszę, Betty" zwykła mawiać, a dla mnie był to największy komplement. Kobieta ufała mi do tego stopnia, że opowiedziała mi pewnego popołudnia o tym, jak jej mąż i synek zginęli w wypadku samochodowym, a ona uciekła z miasta i zaszła się dosłownie na końcu świata. Przez wiele nocy nie mogłam zasnąć, chlipiąc w poduszkę nad jej tragedią, choć stało się to na długo przed moim urodzeniem.

Pierwszego dnia wakacji wybrałam się na wydmy sama, ponieważ Żanka szykowała swoje rasowe kurczaki do ostatniej w sezonie wystawy. Nie miałam ochoty świętować z resztą klasy, którą Zocha wspaniałomyślnie zaprosiła na lody i colę do hotelu. Dobrze wiedziałam, o co jej chodziło, chciała mieć wokół siebie wianuszek adoratorów i wpatrzonych w nią dziewczyn przez całe lato. Nie zamierzałam dać się tak tanio kupić.

Pod pachą dzierżyłam najnowszy debiut młodej polskiej pisarki i nie mogłam doczekać się, kiedy usiądę pod ulubioną sosną i przeczytam książkę tak gorąco polecaną przez panią Marylkę. Gdy dochodziłam do celu, dojrzałam, że pod moim ukochanym

drzewem ktoś siedzi, jednak zanim zdążyłam lepiej przyjrzeć się postaci poczułam piekący ból u okolicy kostki. Krzyknęłam, patrząc pod nogi i ku własnemu przerażeniu dojrzałam wijącą się u stóp żmiję.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami i zakręciło mi się w głowie, zachwiałam się i upadłam, dostrzegając jeszcze, jak gad znika w wysokiej trawie. Nikt nie musiał mi mówić, jak bardzo niebezpieczne było takie ukąszenie. Czułam, że drętwieje mi stopa, próbowałam zawołać po pomoc i wtedy ujrzałam nad sobą twarz okoloną długimi, czarnymi włosami.

"Anioł Śmierci...!" – pomyślałam, próbując wyostrzyć wzrok, ale widziałam tylko te długie, ciemne włosy i czułam, jak jakieś ręce dotykają mojej kostki. Zanim straciłam przytomność, usłyszałam rozgorączkowany głos:

– Pogotowie? Mam tu dziewczynę ukąszoną w nogę przez...

Straciłam przytomność.

\*\*\*

Ocknęłam się w szpitalu.

Mama pochylała się nade mną stroskana, trzymała mnie za rękę.

– Dzięki Bogu, córuś! – krzyknęła, gdy otworzyłam szerzej oczy. – Doktorze, obudziła się!

– Mamuś? Gdzie ja jestem?

– Nic nie mów, kochanie, wszystko będzie dobrze! Rany boskie, gdyby nie ten chłopak, mogłabyś... – głos jej się załamał i padła na mnie, łkając.

– No, jak tam nasza dziewczyna? – lekarz spojrzał na mnie znad okularów. – Miałaś dużo szczęścia. Takie chucherko mogłoby mieć poważne kłopoty, gdyby nie natychmiastowa pomoc! Dobrze, że ten chłopak był w pobliżu. Wezwał pogotowie, śmigłowiec i surowica zjawiły się w ciągu kilku chwil. Ciężko byłoby dojechać na ten wasz Koniec Świata karetką teraz, gdy zaczął się sezon.

Noga potwornie mnie bolała, ale starałam się być dzielna. Nie słuchałam jednak słów lekarza, zastanawiałam się, kim był chłopak, który mnie uratował. Czy to właśnie on siedział pod moim drzewem? Czy to jego widziałam nad sobą, gdy upadłam po ukąszeniu? Z pewnością. Zachciało mi się śmiać, gdy przypomniałam sobie, że wzięłam go za Anioła Śmierci! Naczytałam się za dużo gotyckich historii, a poza tym tak bardzo się przestraszyłam węża, że przestałam myśleć logicznie.

– Zostawimy cię na obserwacji, cały czas podajemy leki. Przyślę pielęgniarkę, żeby zmieniła chłodzący kompres.

Dopiero gdy lekarz się oddalił, zauważyłam, że miałam podłączoną kroplówkę. Moja noga obłożona była chyba lodem.

– Nic się nie martw, kochanie, zaraz wrócę! – mama potruchtała za lekarzem.

Piękny początek wakacji!

Trzeba było jechać z Żanką na pokaz rasowych kur, wówczas nic złego by się nie stało! Nadepnęłam na żmiję jak głupia turystka, ale byłam zbyt podekscytowana czekającą mnie lekturą, żeby patrzeć pod nogi.

Książka leżała na stoliku.

Kto ją tu przyniósł?

Z trudem uniosłam się na łokciach i otworzyłam ją, a ze środka wyleciała kartka.

*"Dziewczyna z głową w ogniu roztopiła lód mej duszy. A."* – przeczytałam i serce zabiło mi mocniej.

"Dziewczyna z głową w ogniu"? O co chodziło? Skąd ta kartka wzięła się w książce od pani Marylki? Może to była jej zakładka?

Zaczęłam czytać, ale nie mogłam się skupić. Wciąż zerkałam na karteczkę, którą schowałam w zagięciu okładki. Pismo było równe, a litery pochyle, napisane atramentem. Kto w dzisiejszych czasach pisał jeszcze piórem?

Przeczytałam parę stron i zasnęłam, składając książkę na kołdrze.

Następnego dnia odwiedziła mnie Żanka. Chociaż udawała troskę, to widziałam, że bardziej obchodził ją medal Koko, jej championki, niż moja obolała noga.

– Zocha znów galopowała dziś po plaży, żebyś widziała, jak się turyści gapili! – Żanka naburmuszyła się. – Za każdym razem, gdy widzę ją na tym koniu, czekam tylko aż spadnie swoim zgrabnym tyłkiem w piach!

– Gwiazdom takie rzeczy się nie zdarzają. Owszem, gdybym to ja jechała, albo ty, to pewnie byśmy spadły, ale nie Zocha. Ona się urodziła w toczku na głowie!

Przez chwilę deliberowałyśmy nad tym, jak niesprawiedliwe było życie. Pusta Zocha miała wszystko – uwielbienie rówieśników, markowe ciuchy, nawet własnego konia! Wszystkie "yorki" biegające po podwórku hotelu miały rodowody, nie to, co moja ukochana, niezgrabna Masza. Na domiar złego Zocha była ładna i szczupła, ale co tu się dziwić, skoro jadała tylko sałatki z niskotłuszczową fetą i każdą wolną chwilę spędzała w hotelowej siłowni? Ja mogłam co najwyżej pobiegać sobie z psem po wydmach albo jechać na rowerze

do sklepu i to tylko przy ładnej pogodzie, a akurat tak się składało, że w Końcu Świata lało przez pół roku, a przez kolejne miesiące leżał śnieg.

– Przyjechał ktoś fajny? – spytałam od niechcienia, żalując, że pierwszy tydzień wakacji spędzę w szpitalu.

Twarz Żanki rozjaśniła się, miałam wrażenie, że zaparowały jej bryle, które zdjęła i przetała brzegiem T-shirtu. Na jej nosie widniały odciski od ciężkich oprawek. Nagle jednak jakby ugryzła się w język.

– Nie bardzo... – zaczęła, szukając słów gdzieś na suficie. Widziałam, że kłamie, znałam to rozbiegane spojrzenie. – Jakaś grupka dresiarzy spod Warszawy, trochę studentów, jak zwykle.

Ewidentnie coś ukrywała, tylko co?

– Muszę lecieć, tata kazał mi sprawdzić, czy Koko nie zniosła jajka po wrażeniach z wystawy!

I już jej nie było.

Całe popołudnie zastanawiałam się, co Żanka przede mną ukrywała? Chciała zdradzić mi jakąś rewelację, ale ugryzła się w język. Znałyśmy się, czytałam w niej jak w otwartej książce.

Na chwilę przed zakończeniem odwiedzin drzwi uchylły się i na widok gościa serce zabiło mi mocniej.

To był Wiktor! Co on tutaj robił??

– Siemka, Betty! – błysnął zębami, siadając na taborecie. Na sąsiednim łóżku jakaś starsza pani cicho pochrapywała. To był maleńki szpital, w zasadzie niewiele więcej niż przychodnia, nie było oddziału dziecięcego. Wolałam towarzystwo milczącej staruszki niż jakiegoś schorowanego dzieciaka. Jeśli było coś, na co nie mogłam spokojnie patrzeć, to na cierpienie dzieci i zwierząt.

Myślałam o tym, próbując zagłuszyć walące na widok gościa serce.

– Co tu robisz? – spytałam cicho, zaschło mi w gardle.

– Wpadłem cię odwiedzić, nie można? Cała wiocha huczy od plotek o tym, jak to Marchewa rozdeptała zmiję!

– Bardzo śmieszne! – zachnęłam się. – Nie masz nic ciekawszego do roboty? A tak w ogóle to Zocha pozwoliła ci tu przyjść?

Wiktor zmarszczył brwi.

– Nie muszę pytać Sofii o pozwolenie! – warknął, zakładając nogę na nogę. Miał nowe adidasy, najdroższy model, który niedawno zaczęli reklamować w telewizji.

"Akurat!" – chciałam skwitować, ale powstrzymałam się.

Dwa tygodnie przed zakończeniem roku odbył się w szkole niedorzeczny bal, taki sam, jakie co raz pojawiały się w amerykańskich filmach. Królową i królem zostali oczywiście Zocha i Wiktor i od tego czasu oficjalnie ze sobą chodzili. Miałam wrażenie, że łączy ich niewidzialna smycz, choć Wiktor oczywiście na każdym kroku próbował pokazywać swoją niezależność. Pewnie jego wizyta tutaj też miała o tym świadczyć.

– Czuję się już lepiej, dzięki – poprawiłam się na poduszkach.

– To fajnie, może niedługo wyjdiesz i skoczmy razem na colę?

– Do "Hellady"? – zapytałam złośliwie.

W co on pogrywał? Pewnie pokłócił się z Zochą i próbował się jakoś odegrać, był właśnie takim typem. Jeszcze kilka tygodni temu takie zaproszenie dodałoby mi skrzydeł, ale teraz tylko mnie zdenerwowało. Czyżby to było działanie jadu węża? A może raczej działanie tajemniczego liściku, który znalazłam w książce?

– Dzięki za troskę, Wik, ale idź już. Jestem zmęczona i boli mnie noga.

Wiktor wstał jak niepyszny, ewidentnie obrażony tym, że go splawiam.

– To nara, Marchewa! – rzucił przez ramię i wyszedł, wspaniałomyślnie nie trzaskając drzwiami, choć widziałam, że miał na to ochotę. Pewnie by to zrobił, gdyby nie drzemiąca obok staruszka.

Przez długą chwilę patrzyłam na drzwi, próbując się uspokoić, aż w końcu poczułam się senna. Wysłałam do mamy esemesa z prośbą o przywiezienie mi jeszcze kilku książek i obróciwszy się na bok zasnęłam, zasłuchana w pochrapywanie współlokatorki.

\*\*\*

Tydzień włókł się niemiłosiernie!

Zrobiło się naprawdę gorąco i nawet Żanka pojawiała się tylko na chwilę, po czym gnała na plażę. Nie miałam jej tego za złe, musiała jakoś odreagować pierwszy rok w gimnazjum, a siedzenie przy moim łóżku i gapienie się na moją stopę nie było dobrym na to sposobem. Zazdrościłam jej, że smażyła się na plaży i chlapała w morzu. Wszystkim tego zazdrościłam, bo jako blada pieguska musiałam unikać słońca. Słona woda też mi nie służyła, co było przekleństwem dla kogoś mieszkającego nad morzem. Gdy chciałam popływać, szłam nad pobliskie ujście rzeczki i bawiłam się, próbując płynąć pod prąd. Czasami z Żanką urządzałyśmy zawody, która dłużej utrzyma się w miejscu. Zawsze przegrywałam, ona była

zaprawiona w walce z morskimi falami. Ja zazwyczaj tylko przechadzałam się po brzegu w pochmurne dni i zbierałam co ciekawsze kamienie i powykrzywiane kawałki drewna.

Gdy opuchlizna zupełnie zniknęła, a jedynym śladem po ukąszeniu były dwa małe strupki, lekarz przygotował wypis. Badania wyszły świetnie i głównym zaleceniem było patrzeć pod nogi, a nie chodzenie z głową w chmurach albo nosem w książce.

Byłam już nieźle wynudzona, bo połknęłam wszystkie książki przyniesiona przez mamę i nie miałam co czytać. Pani Marylka wyjechała jak co roku na dwa tygodnie i biblioteka była zamknięta. Dla mnie oznaczało to koniec świata.

Chciałam dla odmiany poćwiczyć rysowanie. Postanowiłam sobie w zeszłe wakacje, że nauczę się rysować przynajmniej jakieś pejzaże czy martwą naturę. Tak naprawdę moim wielkim marzeniem było narysować autoportret, ale nie powiedziałam o tym nikomu, nawet Żance.

Zapomniałam ciemnych okularów i niewiele widziałam w pełnym słońcu. W duchu śmiałam się, że mam w sobie coś z wampira: bladą cerę i awersję do słońca.

Pod moim drzewem znowu ktoś siedział! Zacisnęłam zęby z wściekłości. Że też ten obcy musiał upodobać sobie akurat moje sekretne miejsce! W końcu nikt z miejscowych o nim nie...

Nikt z miejscowych o nim nie wiedział.

To musiał być turysta.

Przez chwilę chciałam uciec i poczekać, aż miejsce się zwolni, potem nagle pomyślałam, że jest już "skażone" obecnością przybysza. Jad węża odezwał się w moim sercu, postanowiłam go przepędzić, choć nie bardzo wiedziałam, jak to zrobić. Może postraszyć go bytującymi tu żmijami?

Butnie uniosłam głowę i ruszyłam przed siebie, mijając powykręcane od wiatru pnie sosen, a wówczas nieznajomy uniósł wzrok i spojrzał wprost na mnie.

Poznałam te oczy od razu, choć nie wiedziałam, skąd je znam. Zanim otworzyłam usta, chłopak odezwał się ledwie słyszalnym szeptem:

– Jak tam ugryzienie smoka? Już lepiej?

Ugryzienie smoka?

– Dziękuję, już dobrze – odrzekłam odruchowo, wpatrując się w niego.

Skąd wiedział o ukąszeniu? Wytłumaczenie mogło być tylko jedno.

– Nieźle mnie wystraszyłaś. Dobrze, że miałem przy sobie telefon.

To był on! Mój tajemniczy wybawca! Nie poznałam go, długie włosy miał związane na karku.



– Umarłabym, gdyby nie ty...!

Czy ja powiedziałam to na głos? Czułam, że się czerwienię, co w moim wypadku oznaczało, że przybierałam barwę buraka od szyi po włosy. Co za upokorzenie!

Chłopak tymczasem powoli podniósł się z miejsca. Był wysoki i szczupły. Na szyi miał zawieszony aparat fotograficzny z teleobiektywem, a w dłoni dzierżył jakiś brulion. Za ucho miał zatknięty ołówek. Za wszelką cenę starałam się nie patrzeć mu w oczy: zmrużone i bardzo ciemne.

– Jestem Aleks – rzekł cicho, wyciągając do mnie dłoń.

Odruchowo uściśnęłam ją, a w moim żołądku rozszalała się chmara motyli.

– Betty... – szepnęłam, spuszczać wzrok.

– Elizabeth... – mruknął, a mnie przeszedł dreszcz. – Tak miała na imię narzeczona Draculi...

– Wiem! W powieści Brama Stokera! – wypaliłam, jakby był to jakiś egzamin, na co nieznajomy uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie przypuszczałem, że jeszcze ktokolwiek to czyta...

Oczywiście! Byłam tylko gimnazjalistką, a one pewnie według niego nie czytały Stokera. Poczułam się nieco urażona.

– Cieszę się, że jesteś już zdrowa.

O Matko! Był taki bezpośredni! A ja nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Z postaciami z książek nie trzeba było rozmawiać.

– Pogadamy chwilę? – wskazał rozłożoną na ziemi bluzę. – Może usiądziesz? Noga pewnie jeszcze trochę boli?

– Dzięki... – usiadłam i poczułam się jakoś niezręcznie.

Na ziemi rozłożone były kartki ze szkicami wieczornego nieba, dopiero teraz je zauważyłam.

– Jakie piękne...! – wymsknęło mi się.

– Naprawdę ci się podobają? – Aleks usiadł obok mnie. – Chmur nie da się narysować z natury. Nie ma chyba nic bardziej zmiennego. Robię zdjęcia, a potem kopiuję najlepsze ujęcia.

– Mogę zobaczyć? – zaświeciły mi się oczy.

– Pewnie – chłopak odpałił aparat.

Zdjęcia były przepiękne! Czułam się tak, jakbym oglądała jakiś folder reklamowy, albo ilustracje do książki o rajach. A przecież było to to samo niebo, które miałam nad sobą co wieczór, ale – zaczytana – rzadko spoglądałam w górę, dopóki się nie ściemniło.

Zaczynało zmierzchać, a obiecałam mamie, że wrócę nim zapadnie zmrok.

– Muszę już iść – bąknęłam, choć wcale nie miałam na to ochoty.

– Zaczekaj chwilę! – Aleks poderwał się za mną. – Nie ruszaj się przez moment! – uniósł aparat i zanim zdążyłam zaprotestować, pstryknął kilka zdjęć. – Twoje włosy wyglądają na tle zachodu, jakby płonęły! – szepnął bardziej do siebie, niż do mnie.

Przypomniałam sobie liścik w książce i serce skoczyło mi do gardła.

Czy to możliwe, że to on podrzucił go do książki?

"Wariatko! Naczytałaś się romansideł!" – skarciłam się w myślach.

– Jeszcze raz dzięki za ratunek! – rzuciłam, uciekając.

– Betty! Spotkajmy się tu jutro! – usłyszałam, że krzyczy za mną. – Będę czekał o tej samej porze!

Serce waliło mi jak szalone, gdy gnałam w dół wydmy.

Nigdy wcześniej tak się nie czułam, no może czytając o miłości Heatheliffa do Cathy w "Wichrowych Wzgórzach". To była jednak fikcja literacka, a to działo się naprawdę! Uciekłam, bojąc się burzy, która się we mnie rozszalała.

Zamknęłam się w pokoju i padłam na łóżko bez tchu. Chwyciłam za komórkę i wybrałam numer Żanki.

– Żanka! Ten chłopak, który mnie uratował! – rzuciłam, nie witając się. – Wiesz coś o nim?

Odpowiedziała mi cisza.

– Gadaj, Żanka, za dobrze cię znam! Już w szpitalu coś kręciłaś!

– No dobra... – brzmiała tak, jakby się miała rozplakać. – Kazał mi przysiąc, że nic ci nie powiem! Zaczepił mnie, gdy odleciał śmigłowiec. Nie miałam pojęcia, skąd wiedział, że się znamy, ale szybko mi wyjaśnił, że przyjechał kilka dni wcześniej i widywał nas razem. Skoro cię uratował, to pomyślałam sobie, że mogę mu powiedzieć to i owo...

– Coś ty mu nagadała, Żanka??

– Oj przestań, nic takiego! Że lubisz czytać i jesteś raczej skryta... A co, stało się coś?

– Stało! Spotkałam go pod swoją sosną! Jakby specjalnie na mnie tam czekał!

– Bo pewnie czekał. Bardzo się zmartwił, gdy helikopter cię zabrał.

– Przecież on mnie nawet nie zna! – wypaliłam. – Dlaczego miałby się martwić o obcą dziewczynę?

– No, już nie obcą, skoro poznaliście się pod drzewem, no nie?

No tak. Rozłączyłam się bez pożegnania.

A może był jakimś wariatem, który chciał mnie zamordować? Bez sensu, po co by mnie ratował? Mógł poczekać, aż umrę od jadu. Może nie powinnam wracać tam jutro? Gdy przypominałam sobie jego zdjęcia, jego piękne rysunki i jego zmrużone, czarne oczy, wiedziałam już, że wrócę.

\*\*\*

Wróciłam.

– Betty! – Aleks rozpromienił się na mój widok. – Jak fajnie, że przyszłaś! Mam nadzieję, że cię wczoraj nie wystraszyłem? Po prostu bałem się, że ostatni tydzień wczasów spędzę sam na sam z chmurami, a tymczasem pojawił się ktoś, kto czytał Stokera. Jesteś jak płonąca pochodnia w tym ciemnogrodzie!

Czy powinnam się obrazić za to, że nazwał mój dom "ciemnogrodem"? Chyba nie, skoro sama często tak myślałam o Końcu Świata.

– Przyniosłam coś pysznego – postawiłam na ziemi plecak. Mama upiekła drożdżówki specjalnie na moje wyjście ze szpitala. – Sławne w całym ciemnogrodzie drożdżówki mojej mamuśki.

– Przepraszam... – szepnął.

– Nie przepraszaj. Cały rok czekam na to, by latem pojawił się ktoś, kogo obchodzi coś poza miętoszeniem pada od X-boxa.

Wybuchł śmiechem i ja też się śmiałam.

– Gdzie się zatrzymałeś? – spytałam, ale znałam odpowiedź.

– W "Helladzie" – odrzekł, częstując się drożdżówką. Palce miał ubrudzone grafitem.

No tak, wszyscy się tam zatrzymywali. Do wyboru był hotel, pole namiotowe i kilka rozwalających się drewnianych domków. Chłopak z aparatem za grube tysiące nie wyglądał na kogoś, kto sypia w namiocie.

– Fajny hotel, tylko pałęta się po nim ciągle córka właściciela. Wdzięczy się, jakby była tu największą atrakcją turystyczną. Strasznie mi to działa na nerwy, więc uciekam tutaj.

Aleksa wkurzała Zocha! No niemożliwe! A więc był ktoś, na kim jej opalenizna nie robiła wrażenia!

– Moja matka choruje na tarczycę – ciągnął – więc lekarz zalecił jej wczasy nad morzem.

– I jak wam się podoba na Końcu Świata?

Spojrzał mi w oczy.

– Mnie tam bardzo się podoba...

Napchałam usta drożdżówką i wpatrzyłam się w swoje buty.

– Coś ci pokażę – Aleks podsunął mi aparat. – Zobacz, jak fajnie wyszły.

To były zdjęcia, które zrobił mi wczoraj. Spoglądała z nich dziewczyna o podświetlonych zachodzącym słońcem rudych włosach. Patrzyła w obiektyw jakby przestraszona wielkimi, zielonkawymi oczyma. Czy to naprawdę byłam ja?

– Pozwolisz, abym zrobił jeszcze kilka? Jesteś bardzo fotogeniczna.

O Matulu, co on wygadywał? Chciałam zapaść się pod ziemię, a zamiast tego przytaknęłam.

Rozmawialiśmy aż zrobiło się ciemno. Aleks skończył właśnie pierwszą klasę w liceum plastycznym. Chciał zostać zawodowym fotografikiem i miał na to duże szanse, zdobył już kilka nagród w różnych konkursach. Jego zdjęcia pojawiały się nawet w lokalnej prasie. Ja mogłam pochwalić się jedynie nagrodą za najlepsze wyniki w czytelnictwie. Ale w końcu byłam dopiero gimnazjalistką.

Chociaż Aleks nalegał, nie chciałam, żeby mnie odprowadzał.

Było już prawie ciemno, w oddali słychać było dudnienie dyskoteki w "Helladzie". Gdy mijałam ławki na deptaku, poderwało się z nich kilku chłopaków w dresach. Przestraszyłam się, ale rozpoznałam Wiktora.

– Siemka, Marchewa! – wybełkotał.

Coś było z nim nie tak. W jednaj ręce dzierzył puszkę piwa, w drugiej papierosa.

– Co się tak szwędasz sama po nocy? Nóżka już nie boli? – podszedł do mnie i chwycił mnie za rękaw. – Może piwka łykniesz z nami?

Jego kumple zarechotali.

Co za burak! Jak kiedykolwiek mogłam pomyśleć, że mi się podoba? Był pustym dresiarzem i szpanerem, a teraz się okazywało, że do tego młodocianym pijaczkiem i popalaczem. Co ze ženada! Przez myśl przeleciał mi obraz pijanego taty, które też bełkotał coś pod nosem. Widywałam to od małego, aż w końcu kilka lat temu ojciec wyszedł i już nie wrócił. Nie pytałam, co się z nim stało, a mama najwidoczniej uznała, że nie muszę wiedzieć. Nigdy go nie wspominałyśmy.

Myślałam o tym patrząc z niesmakiem na ślaniającego się na nogach chłopaka.

– Daj spokój, Wiktor! Wracaj lepiej na dichę pilnować Zochy! Ciekawe, z kim teraz tańczy?

W jego oczach błysnęło coś złowrogiego. Owszem, był tylko dzieciakiem, ale za to podchmielonym. A jego kumple byli starsi i ewidentnie skorzy do bitki. Przestraszyłam się nie na żarty. Spróbowałam się wyrwać.

– Puszczaj...! – syknęłam, czując napływające do oczu łzy.

– Puszczaj! – powtórzył głos za moimi plecami. – Wracaj do kumpli, ona idzie ze mną! – Aleks wyszarpnął mój rękaw z palców Wiktora i odciągnął mnie w stronę świateł "Hellady". Za plecami słyszeliśmy gwizdy i pokrzykiwania, ale nie dał się sprowokować.

– Banda ćwoków! – rzucił przez zęby. – Nic ci nie jest?

Pokręciłam głową. Już drugi raz mnie uratował! Może Wiktor nie był groźny jak żmija, ale z pewnością równie obrzydliwy jak jakiś gad.

– Nie pozwolę ci więcej łązić samej po ciemku! – Aleks ujął mnie pod ramię. Drobilałam, próbując za nim nadążyć. – Nie po to wyrwałam cię ze szponów śmierci, żeby teraz poturbował cię jakiś pijany dresiarz!

Nikt nigdy nie powiedział mi nic podobnego, nikt tak się o mnie nie troszczył. A przecież ledwie się znaleźliśmy! Zdałam sobie jednak sprawę z tego, że przez ostatnie dni przegadałam z nim więcej godzin, niż z Żanką czy mamą w ciągu miesiąca.

Spotykaliśmy się codziennie. Ja przynosiłam pyszności, Aleks pstrykał zdjęcia. A dni mijały i wiedziałam, że rozstanie jest nieuchronne.

Gdy w końcu usłyszałam, że wyjeżdżają nazajutrz, miałam łzy w oczach. Staliśmy pod sosną, która nie była już moim, a naszym drzewem, a słońce zachodziło piękniej niż kiedykolwiek.

– Mam coś dla ciebie – Aleks wręczył mi dużą szarą kopertę.

W środku były moje zdjęcia i przepiękny rysunek turkusowo–złoty chmur. Było też zdjęcie, które zrobiliśmy sobie dla żartu z samowyzwalaczem. Przedstawiało dwie twarze – złęknionego, wątlego rudzielca i bladego, poważnego młodzieńca o grzywie czarnych włosów opadających na ramiona. Nasze oczy jednak się na nim śmiały.

– Do zobaczenia, dziewczyno z głową w ogniu... – szepnął Aleks i dotknął mojego policzka. Serce stanęło mi w gardle. Nie byłam w stanie się poruszyć.

– Spotkamy się jeszcze kiedyś...? – spytałam drżącym głosem.

– Pewnie, że tak! Nie po to wyrwałam cię ze szponów śmierci by pozwolić ci zostać gdzieś na końcu świata... – pochylił się i przytulił mnie mocno i gdy wydawało mi się, że moje serce pęknie od natłoku uczuć, cmoknął mnie w policzek.

– Do zobaczenia, Elizabeth!

Stałam cała roztrzęsiona, ściskając w dłoni kopertę i obserwowałam przez łyżę jego oddalającą się postać.

Przesiedziałam pod naszym drzewem resztę wakacji i nawet anegdotki Żanki o kurczakach nie były w stanie mnie rozśmieszyć. Czułam się jak bohaterka powieści, czułam wszystko to, o czym dotychczas tylko czytałam.

I gdy przed pierwszym dzwonkiem odebrałam wiadomość od Aleksa, serce łomotało mi jak uwięziony w klatce ptak.

*"My pstrykaliśmy fotki, a tata oglądał działki na wybrzeżu. Mamie posłuży nadmorski klimat, gdy już się przeprowadzimy. Do zobaczenia, moja Elizabeth!"*

Moja Elizabeth!

Mam na imię Betty i mieszkam na Końcu Świata.

Prowadzę lokalną bibliotekę, odkąd pani Marylka wyjechała na prawdziwy koniec świata, gdzieś na misję w Afryce. Mój mąż, artysta fotografik, Aleks Wolski, często wyjeżdża, organizując wystawy swoich prac, ale zawsze, gdy wraca, najpierw idziemy pod nasze drzewo, uważając, by nie nadepnąć na smoka, to znaczy na zmiję.

KONIEC